

## SCHODY DO NIEBA. FILOZOFIA JAKO UMIŁOWANIE MIŁOŚCI

Mirosław Żelazny, *Podpatrzeć niebo. Esej z filozofii idei*,  
Wydawnictwo UMK, Toruń 2008, ss. 138.

Od ponad dwóch i pół tysiąca lat wiemy wszyscy, że filozofia to umiłowanie mądrości. Kiedy jeszcze Pitagoras przebywał wśród żywych i wiele stuleci po odejściu jego nieśmiertelnej, niezbrukanej materią duszy do innego świata wiadano, czym owa mądrość jest. Filozofowie wówczas byli tymi, co to w podmiejskich ogrodach ćwiczą się w sztuce umierania albo w sztuce doskonałego, oczyszczającego duszę życia – po to, by „podpatrzeć niebo”, by uzyskać godność umożliwiającą obcowanie z mądrością bogów i wziąć coś z niej dla siebie i móc według niej układać własne szczęście.

Ale nie przesadzajmy. Nie wszyscy myśliciele dokładnie tak samo rozumieli filozofię, filozofowanie i mądrość. Ci, którzy widzieli fresk Rafaela *Szkola ateńska*, przypomną sobie, że chociaż filozofowie zgadzali się ze sobą, że mądrość to podpatrywanie nieba, to jedni widzieli do niego drogę prostą – jako wniebowstąpienie – dla innych zaś filozofia to wiedza, która wprowadzi do nieba i boskiej wiedzy (kontemplacji poznania i tego, co może być pomyślane) prowadzi, lecz zaczyna się od tego, co poniżej nieba, a nawet – prowadząc wzrok za gestem Arystotelesa – gdzieś głęboko pod naszymi stopami. Spór namalowanych przez artystę gestów (i racji, których owe gesty są w dziele przecież nie całkiem niema ekspresją) trwał niemal do naszych dni. Kiedy ogłoszono, iż bogowie pomarli, straciliśmy pewność co do tego, czym jest mądrość filozofii, jaki jest cel i miara jej rozmyślań. Nie jest dziełem przypadku, że w ostatnim stuleciu bujnie rozkrzewiły się zawieszające filozoficzne myślenie rozważania, które zmiernają do rozwiązania zagadki wyrażającej się w jakże prostym do niedawna pytaniu: czym jest filozofia? I chociaż – jak to w filozofii bywa najczęściej, co przewrotny rozum przyjmuje jako dobrą monetę własnej wolności – na to pytanie nie udzielono jednoznacznej odpowiedzi, to praktyka wskazuje (to zatem, o czym filozofowie rozmyślają, jak filozofują i do czego zmiernają), iż dzisiejsza myśl filozoficzna podąża za gestem Arystotelesa. Jej mądrość stała się mądrością ziemską, skupioną na tym, co tutaj i teraz, na ludzkim szczęściu znajdującym się na wyciągnięcie ręki (chyba najczęściej rozumianym jako dające zrealizować się środkami politycznymi i w sferze polityki) i niewielu spogląda ku drodze, którą można by do-

strzec, podnosząc oczy w górę. I można pomyśleć: jeśli niebo jest puste, to czyż może być inaczej?

A jednak, ku zaskoczeniu rozumu, niemal już całkowicie oswojonego z jednowymiarowym światem, oraz zdumieniu dobrze zdomowionych w nim filozofów, Mirosław Żelazny oznajmia w motcie do swojej książki, iż „jedynym prawdziwym celem filozofii jest uzmysłowienie człowiekowi, że niebo naprawdę istnieje”. Bardzo jestem ciekaw, czytelniku, jakie myśli nawiedziły cię po przeczytaniu tych słów? Jesteś zaskoczony tak samo jak filozofowie, których ja o to podejrzewam, czy jak ja byłem zaskoczony, kiedy je przeczytałem? Nie zdziwiłbym się, gdyby tak właśnie było, jesteśmy wszak ludźmi dzisiejszymi, skupionymi na naszym, pozbawionym nieba świecie, a myśl, z którą właśnie spotkaliśmy się, czytając cytowaną frazę, wydaje się (a może nawet jest – nad tym trzeba będzie się zastanowić) niedzisiejsza. A może pomyślałeś, że chodzi o rozważania o charakterze teistycznym, a może nawet wyznaniowym (wykluczmy, jako mało prawdopodobne, określenie „dewocyjne”, chociaż i takie mogłoby się pojawić; tak zapewne pomyślał mój towarzysz podróży, który, siedząc obok mnie, od czasu do czasu rzucał z ukosa dyskretne spojrzenia na to, co czytam, a kiedy już opuszczałem przedział, odważył się zapytać, czy jestem kaznodzieją). O podpatrywanie jakiego nieba chodzi więc M. Żelaznemu i dlaczego uzmysłowienie jego istnienia człowiekowi uznaje on za jedyny cel filozofowania?

W recenzowanej pracy Autor stawia pytanie o to, co w życiu ludzkim jest nieprzemijalne, co wykracza poza ulotność aktualnej chwili, poza przemijalność, płynność i nieuchronność odchodzenia w niebyt kolejnych chwil naszej osobistej historii. Problemem jest tutaj zagadnienie zachowania trwałej podmiotowej jedności i tożsamości – bycia sobą – wbrew zmienności i przemijaniu życia, które w każdej chwili jest przecież nowym doświadczeniem, przeżywanym w coraz to innym „teraz”. Tego rodzaju rozważania pojawiają się dzisiaj niezwykle rzadko, w wyniku zdominowania współczesnej myśli filozoficznej przez zainteresowania o wyrażnym profilu politycznym, ujawniające zresztą dość wyraźne koneksje z założeniami liberalnej wizji życia społecznego. To, co osobiste, intymne i prywatne, zostało w niej, z jednej strony, uznane za dziedzinę, do której to, co powszechnie (a więc także myśl filozoficzna), nie powinno mieć dostępu, co ma gwarantować jednostkom – zgodnie z założeniami liberalizmu – ich osobistą wolność. Zarazem, z drugiej strony, refleksja nad sferą indywidualnego istnienia, od czasu, gdy „fajerwerk egzystencjalizmu” zgasł na dobre, zdmuchnięty przez myśl eksponującą dominację nieosobowych struktur nad naszymi indywidualnymi racjami, dążeniami, etc. – m.in. przez strukturalizm i poststrukturalizm oraz różne nurty postmodernizmu głoszące śmierć podmiotu – stała się dla wielu filozofów bezprzedmiotowa. Nie wyklucza się wprawdzie istnienia wspólnej wszystkim ludziom natury (zwłaszcza tej dostępnej w empirycznym – np. biologicznym – badaniu), jednakże pytanie o naturę indywidualną, o jednostkową tożsamość, zostało uzna-

ne za nie mające szans na uzyskanie odpowiedzi, bo odniesione do czegoś, czego istnienie dominujący paradygmat poznawczy wyklucza na mocy własnych złożeń. Ta sytuacja nie likwiduje, oczywiście, możliwości stawiania pytań o własną, indywidualną tożsamość z perspektywy subiektywnej, ale pozbawia je filozoficznej doniosłości. Wydaje się, że M. Żelazny doskonale zdaje sobie sprawę z „niefilozoficzności” czy niewczesności swoich rozważań – w tym znaczeniu, iż w perspektywie dominujących dzisiaj w filozofii zainteresowań i przeświadczeń ani nie mieszczą się one w jej głównym, filozoficzno-politycznym nurcie, ani nie znajdują na jej gruncie wystarczająco mocnego uzasadnienia. O tym świadczy to, że obok filozofów, jako stałych „bohaterów” niemal każdej refleksji filozoficznej, na których koncepcje Autor omawianej książki także się powołuje, pojawiają się w niej również – i to odgrywając główne role – postaci zgoła niefilozoficzne, takie jak Dobra Babcia z Rakowa, Babcia z Gór Świętokrzyskich (autorka wiersza-molitwy, którym, a nie własnymi wnioskami, Autor kończy swoją refleksję), „stara kobieta narodowości niemieckiej”, mieszkający w leśnej głuszy stary Chińczyk Li-Tsun-Bin, Matka Teresa z Kalkuty, artyści (Mozart, Chopin, Rafael), bohaterowie powieściowi i filmu, postaci z świętych ksiąg różnych religii (Ajruna, Jezus Chrystus).

Powiedzmy wyraźnie: niebo, o którego zdobyciu – a chociażby tylko jego podpatrzeniu, bo wniebowstąpienie jest trudne i zdarza się rzadko – pisze M. Żelazny, i które uznaje za tożsame z osiągnięciem prawdziwego, osobistego szczęścia, jest „idealnym niebem własnej historii” (s. 22), jednością własnego życia, „byciem sobą” (można rzec: moją najbardziej osobistą „mojością”). Uzyskanie szczęścia osobistej jedności, „nieba własnej historii”, nie jest czymś powszechnym czy łatwym, bo – jak zapewniają od wieków gnostycy – większość z nas żyje w uśpieniu i nie chce się obudzić, by pójść za głosem własnego powołania. Większość z nas – jeśli wierzyć np. Heideggerowi – wieździe życie rozproszone, pozbawione autentyczności, zdominowane przez wszechwładną powszedniość „się”, nie stając się nigdy sobą. Użyte przez Żelaznego określenie stanu bycia sobą „niebem”, a dążenie do tego stanu – „podpatrywaniem nieba” zaskakuje jednakże – przynajmniej – trafnymi metaforami. Bo czyż nie jest bycie sobą najbardziej pożądanym stanem, jaki osiągnąć chciałby każdy? Zauważmy też, że metafory Żelaznego wyrażają inną, bardziej optymistyczną wizję życia niż ta, którą znajdujemy u Heideggera. U niemieckiego filozofa bowiem warunkiem życia zgodnego z sobą samym, z własnym powołaniem, jest trwoga, spotkanie z nicością, usuwanie się spod naszych stóp podstawy bytu, zamilknięcie, wreszcie zrozumienie, że naszą ostateczną możliwością jest możliwość niebycia.

Nadanie jedności własnemu, złożonemu z wielu wydarzeń i epizodów życiu to – jak przekonuje M. Żelazny – ujęcie go w jednej idei, która w najogólniejszym sensie jest „skumulowaną jednością przedmiotu w całościowym doświadczeniu, łączącym jego obrazy i stany z historii” (s. 15), spinającym w harmonijny, syste-

matyczny związek nawet rozbieżne, dysharmonijne treści. Jest raczej „jednością wszelkiej wiedzy pojęciowej i wszystkich obrazów” (s. 16), syntezą zewnętrżności doświadczenia i wewnętrzności wyobraźni – jak ująłby to Kant. Owa *coincidentia oppositorum*, jak twierdzi Autor, czy „okrągłość człowieka”, jak wyraziłby się pewnie Jung, nie może pochodzić wyłącznie z empirycznego doświadczenia, być jego pojęciowym uogólnieniem, jest bowiem wyobrażeniem ponadprzestrzennym i ponadczasowym. Gdyby idea jedności własnego życia pochodziła jedynie z empirii, byłaby „smagana bezlitosnymi razami aktualnego doświadczenia” (s. 31), natarczywą naocznością konkretnych doznań i obrazów, ulegałaby stale przemianom. Trudno byłoby w takim wypadku mówić o idei siebie samego jako czynnika nadającym jedność chaosowi doświadczenia. Jeśli owa idea nie pochodzi z doświadczenia, to jakie jest jej źródło?

To pytanie jest motywem przewodnim rozmyślań M. Żelaznego w omawianym eseju. By na nie odpowiedzieć, Autor czyni przegląd tego, co oferują w tej kwestii liczni filozofowie, m.in. Platon, Aureliusz Augustyn, Kant, Hegel i jeszcze inni, wskazując na dwa główne sposoby pojmowania tego, czym nieempiryczna idea jest. Jeden z nich ma źródło w filozofii Platona. Platońska idea, jak wiadomo, nie powstaje w wyniku skumulowania doświadczeń i jest wobec nich pierwotna. Autorem drugiego jest Kant. Jego koncepcja idei regulatywnych głosi ich konieczność w kształtowaniu systematycznego związku całego poznania empirycznego oraz podobnie jak platonowska wykazuje, iż nie wywodzą się one z empirii. Obaj filozofowie zgodnie podkreślają, że na tych ideach zasada się „zdolność odnoszenia tego, co ogólne i systematyczne, do tego, co szczególne i przypadkowe” (s. 59), którą M. Żelazny za Leibnizem i Kantem nazywa „władzą sądenia”. To właśnie od tej władzy poznawczej zależy, czy naszemu życiu nadamy jedność, czy autentycznie będziemy sobą. Jednak ta władza poznawcza jako właściwa poznaniu ludzkiemu jest jedynie postulowana, bo władza sądenia w sposób czysty, niezmienny i nieprzerwany przysługuje tylko istocie boskiej, człowiek natomiast miewa tylko jej przebliski. To właśnie takie momenty Autor nazywa „podpatrywaniem nieba”, przeżywaniem przez człowieka „chwil w roli Pana Boga” (s. 60) – chwil niedoskonałych, porównywanych przez M. Żelaznego do krótkich lotów domowej gęsi. Obszerne fragmenty swojej książki poświęca on drogom, które prowadzą do tych krótkich, uszczęśliwiających, rozkosznych chwil zgodności naszych idei z doświadczeniem empirycznym, drodze piękna i zwłaszcza dobra, które w świecie empirycznym przecież nie bytuje – tym samym drogom, na których dokonujemy odkryć naukowych, tworzymy najwspanialsze dzieła sztuki i stajemy się sobą.

Czy filozofowie i uczeni są jakoś szczególnie predestynowani do odbywania tych podniebnych, chociaż krótkich lotów domowej gęsi? Otóż nie. Zwłaszcza filozofowie i uczeni nie są, zdaje się twierdzić Żelazny, specjalnie wyróżnieni, by występować w roli bogów. Żelazny pisze, iż „nauki, jakkolwiek szeroko by nie

rozumieć tego pojęcia, nie wyczerpują pola wszelkiej ludzkiej wiedzy” i „są pytania, na które każdy może odpowiedzieć tylko we własnym imieniu” (s. 88). Dlatego filozofowie ze swym dążeniem do uniwersalnych prawd niewiele tutaj mogą zdziałać – nie potrafią bowiem udowodnić, że niebo naprawdę istnieje („udowodnić można co najwyżej twierdzenie Talesa”, czytamy w cytowanym już motcie). Mogą jednak dążyć do celu równie wartościowego: do uzmysłowienia, że tak naprawdę jest. Nie są jednak żadnymi wyjątkami. Do nieba może zajrzeć każdy - Dobra Babcia z Rakowa, stary Chińczyk Li-Tsun-Bin z leśnej głuszy, Matka Teresa z Kalkuty, Mozart czy nauczyciel miłości i dobra, którym był Chrystus. Każdy, kto wyzbędzie się smutnej nienawiści i będzie kochał – tak, jak pisze cytowany przez Żelaznego św. Paweł w znanym hymnie o miłości. Źródłem idei nie jest więc ani abstrakcja dokonana na doświadczeniu empirycznym, ani synteza racjonalna, filozoficzna, lecz siła miłości, nadająca jedność życiu, łącząca w harmonijną, spójną całość chaos doświadczenia i bogactwo sprzecznych nawet myśli.

Konkluzja, którą M. Żelazny kończy swe rozważania, prowadzi poza złożoną, coraz bardziej intelektualizowaną w dziejach racjonalność filozoficzną, ku pierwotnemu, źródłowemu rozumieniu filozofii, jej funkcji i zadań. Mądrość jest czymś innym i czymś więcej niż umiejętnością prowadzenia rozumowań według zasad dedukcji, więcej niż dialektyczną zręcznością czy trafnym wyprowadzaniem wniosków z indukcji. Jest podpatrywaniem nieba, do którego droga prowadzi przez to, co łączy wszystkich i wszystko – przez dobro i miłość. Filozofia, jak twierdził jeszcze Pitagoras, jest miłością. Tak rozumiejąc filozofię można się zgodzić ze starą, schlebiającą filozofom sentencją, iż dziką bestią jest ten, kto nie uprawia filozofii – ten, kto nie kocha i nie zna miłości.

*Mieczysław Jagłowski*